

HARLAN COBEN

Schronienie

thriller



ALBATROS

Tytuł oryginału:
SHELTER

Copyright © Harlan Coben 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Zbigniew A. Królicki 2012

Redakcja: Beata Słama

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcie i ilustracje na okładce: © Dave Wall/Arcangel Images (*front*);
Shutterstock (*motyl*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



**WYDAWNICTWO
ALBATROS**

Rozdział 1

Szedłem do szkoły, użalając się nad sobą – mój ojciec nie żył, matka była na odwyku, a dziewczyna zaginęła – kiedy po raz pierwszy ujrzałem Nietoperzycę.

Oczywiście słyszałem plotki. Podobno Nietoperzycza mieszkała samotnie w zaniedbanym domu na rogu Hobart Gap Road i Pine. Znaćcie go. Teraz przed nim stałem. Wyblakła żółta farba obłaziła z niego jak sierść ze starego psa. Niegdyś solidny cementowy chodnik popękał na kawałki wielkości ćwierćdolarówek. Na niekoszonym trawniku rosły mleczce tak duże, że bez pytania wpuszczono by je do seksklubu.

Mówiono, że Nietoperzycza ma sto lat i wychodzi tylko w nocy, a jeśli jakiś biedny dzieciak nie zdążył wrócić do domu z randki albo treningu Małej Ligi i zaryzykował spacer, zamiast wezwać taksówkę, albo był tak szalony, że pró-

bował skrótu przez jej podwórko, dopadała go.

Nie wiadomo, co miałyby robić swoim ofiarom. Od lat w miasteczku nie zaginął żaden dzieciak. Nastolatki, takie jak moja dziewczyna Ashley, jednego dnia były tu, trzymały cię za rękę, spoglądały głęboko w oczy, sprawiały, że serce zaczynało ci walić w piersi, a następnego dnia już ich nie było. Ale małe dzieci? Nie. One były bezpieczne, nie zagrażała im nawet Nietoperzyca.

Tak więc już miałem przejść na drugą stronę ulicy – bo nawet ja, dojrzały nastolatek rozpoczynający drugą klasę w nowej szkole, wołałem omijać ten upiorny dom – gdy zaskrzypiały otwierane drzwi.

Zamarłem.

Przez moment nic się nie działo. Drzwi były otwarte na oścież, ale nikt w nich nie stał. Zatrzymałem się i czekałem. Może zamrugałem. Nie jestem pewny.

Jednak kiedy znów popatrzyłem, Nietoperzyca tam była.

Mogła mieć sto lat. A może dwieście. Nie miałem pojęcia, dlaczego nazywano ją Nietoperzycą. Nie przypominała nietoperza. Włosy miała siwe i długie jak hipiska, rozpuszczone do pasa. Powiewały na wietrze, zasłaniając jej twarz. Ubrana była w podartą białą suknię przypominającą suknię ślubną ze starego horroru lub heavymetalowego wideoklipu. Jej plecy były wygięte jak znak zapytania.

Powoli podniosła rękę tak bladą, że bardziej niebieskawą

od prześwitujących żył niż białą, po czym wycelowała we mnie drżący kościsty palec. Nic nie powiedziałem. Celowała we mnie palcem, aż upewniła się, że na nią patrzę. Kiedy stwierdziła, że ją widzę, na jej pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech, od którego przeszły mnie ciarki.

– Mickey?

Nie miałem pojęcia, skąd zna moje imię.

– Twój ojciec nie umarł – powiedziała Nietoperzyca.

Te słowa wywołały wstrząs, pod którego wpływem cofnąłem się o krok.

– Jest jak najbardziej żywy – dodała.

Jednak stojąc tam i patrząc, jak znika w swojej zapuszczonej norze, wiedziałem, że to, co mi powiedziała, nie jest prawdą.

Ponieważ widziałem, jak mój ojciec umarł.

• • •

No dobrze, to było upiorne.

Stałem przed domem Nietoperzycy i czekałem, aż znów wyjdzie. Nie doczekałem się. Podeszedłem do drzwi i poszukałem dzwonka. Nie było go, więc zacząłem w nie walić. Trzęsły się od uderzeń. Drzewo było szorstkie jak papier ścierny i podrapało mi knykie. Kawałki farby osypywały się, jakby drzwi miały łupież.

Jednak Nietoperzyca się nie pojawiła.

I co teraz? Wyważyć drzwi kopniakiem... a potem? Znaleźć tę staruszkę w dziwacznej białej sukni i zażądać, żeby wyjaśniła swoją głupią gadaninę? Może weszła na piętro? Może Nietoperzyca szykuje się na kolejny zwariowany dzień, zdjęła białą suknię i bierze prysznic...

Fuj!

Czas iść. Przecież nie chciałem spóźnić się na pierwszą lekcję. Mój wychowawca, pan Hill, to maniak punktualności. Ponadto wciąż miałem nadzieję, że Ashley dziś się pojawi. Znikła bez śladu. Może teraz wróci równie niespodziewanie.

Poznałem ją trzy tygodnie temu na spotkaniu integracyjnym dla nowych uczniów (takich jak Ashley i ja) oraz rozpoczynających naukę, którzy i tak już się znali, ponieważ chodzili razem do szkoły podstawowej i gimnazjum. Z tego miasta chyba nikt nie wyjeżdża.

Spotkanie powinno ograniczać się do wizyty w klasie, zwiedzenia szkoły i ewentualnie poznania kilku kolegów. Jednak nie, to nie wystarczyło. Musieliśmy wziąć udział w tych idiotycznych, odczłowieczających i kompletnie szurniętych ćwiczeniach „tworzenia zespołu”.

W pierwszym chodziło o „budowanie zaufania”. Pani Owens, nauczycielka wychowania fizycznego, z uśmiechem wyglądającym jak wymalowany przez pijanego klauna, rozpoczęła je, próbując nas rozruszać.

– Dzień dobry wszystkim!

Kilka słabych jęków.

Wtedy – i nienawidzę, kiedy dorośli to robią – zaczęła pokrzykiwać.

– Wiem, że stać was na więcej, więc spróbujmy jeszcze raz! Dzień dobry wszystkim!

Tym razem uczniowie krzyknęli „dzień dobry!” głośniej po prostu dlatego, że chcieli, żeby przestała.

Zostaliśmy podzieleni na sześćosobowe grupy. Moja składała się z trzech rozpoczynających naukę i trzech uczniów starszych klas, którzy właśnie przeprowadzili się do miasta.

– Jeden z was stanie teraz na podium z opaską na oczach! – wykrzyknęła pani Owens. Wszystko, co mówiła, kończyła wykrzyknikiem. – Reszta skrzyżuje ręce na piersi i będzie udawała, że podium stanęło w ogniu! Och nie! – Pani Owens przycisnęła dłonie do policzków jak ten dzieciak z filmu *Kevin sam w domu*. – Jest tak gorąco, że musicie się cofnąć!

Ktoś podniósł rękę.

– Dlaczego mamy stać ze skrzyżowanymi rękami, jeśli podium się pali?

Potwierdzające pomruki.

Namalowany uśmiech pani Owens nie zmienił się, ale miałem wrażenie, że zauważyłem nerwowy tik jej prawego

oka.

- Macie związane ręce!
- Co takiego? Nie, skądże.
- Udawajcie, że tak jest!
- Jeśli mamy to udawać, to po co opaska na oczach? Nie

można udawać, że się nie widzi?

- Albo zamknąć oczy?

Pani Owens powstrzymywała irytację.

- Podium jest tak gorące, że padacie na plecy.
- Padamy?
- Czy nie powinniśmy raczej zeskoczyć, pani Owens?
- Naprawdę, dlaczego mamy padać? No wie pani, jeśli

jest takie gorące.

Pani Owens miała dość.

– Ponieważ ja tak mówię! Macie padać! A reszta grupy ma was łapać! Potem będziecie zamieniali się miejscami, aż wszyscy po kolei upadną.

Zrobiliśmy to, chociaż niektórzy z wahaniem. Mam metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wagę dziewięćdziesiąt kilo. Moi koledzy skrzywili się, patrząc na mnie. Jedna z dziewcząt w mojej grupie, pierwszoroczna cała ubrana na czarno, była gruba. Wiem, że nie powinienem nazywać jej grubą, tylko znaleźć jakieś inne, bardziej poprawne politycznie słowo, ale nie wiem, jakie nie brzmiałoby zbyt protekcyjnie. Sporej tuszy? Pulchna? Otyła? Używam tych słów, nie oce-

niając, tak samo jak powiedziałbym „mała”, „koścista” lub „chuda”.

Ta duża dziewczyna zawahała się, zanim weszła na podium. Ktoś z grupy się zaśmiał. Potem jeszcze ktoś.

Nie mam pojęcia, w czym to ćwiczenie miało komukolwiek pomóc, poza udowodnieniem tej dziewczynie, że nagrywania się nie skończą, kiedy zaczniesz naukę w szkole średniej.

– Dalej, Emo, złapiemy cię – powiedział z drwiącym uśmiechem jeden z pierwszoroczników, kiedy dziewczyna nie upadła od razu.

Ten głos nie dodał jej otuchy. Zsunęła opaskę z oczu i popatrzyła na nas. Napotkałem jej spojrzenie i skinąłem głową. W końcu rzuciła się z podium. Złapaliśmy ją – niektórzy dramatycznie postępując – ale Ema wcale nie wyglądała na bardziej ufna.

Potem była głupawa symulacja rozgrywki paintballu, w której dwie osoby zostają ranne, a następnie ćwiczenie pod nazwą – i chciałbym, żeby to był żart – „zatrute masło orzechowe”. W jego ramach należało przejść pięciometrowy pas zatrutego masła orzechowego, jednak, jak wyjaśniła pani Owens: „Tylko dwoje z was może nosić odporne na truciznę buty!”.

Krótko mówiąc, trzeba było przenieść pozostałych członków drużyny na plecach. Dziewczyny chichotały, kiedy je

przenoszono. Był tam fotograf z gazety „Star Ledger” i robił zdjęcia. Reporter zadawał rozpromienionej pani Owens pytania, a jej odpowiedzi roily się od takich słów, jak „więź”, „powitanie” i „zaufanie”. Trudno mi było sobie wyobrazić, jaki artykuł można napisać o czymś takim, ale może rozpaczliwie szukali jakiegoś materiału o dramatycznym wydźwięku.

Stałem z Emą w kolejce do przeprawy przez zatrute masło orzechowe. Czarny tusz spływał jej po twarzy wraz z czymś, co mogło być łzami. Zastanawiałem się, czy fotograf to uwieczni.

Gdy nadeszła jej kolej do przeniesienia przez zatrute masło orzechowe, dosłownie czułem, jak trzęsie się ze strachu.

Pomyśl tylko.

To twój pierwszy dzień w nowej szkole i jesteś dziewczyną, która waży około stu kilogramów, a tu zmuszają cię do włożenia szortów i w ramach bezsensownych ćwiczeń twoi nowi i mniejsi koledzy mają cię taszczyć jak beczkę piwa, podczas gdy ty masz ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Czy ktoś uważa, że to dobry pomysł?

Pani Owens podeszła do naszej grupy.

– Gotowa, Emmo?!

Zatem Ema albo Emma. Teraz już nie wiedziałem, jak ma na imię.

Emma/Ema nic nie powiedziała.

– Dalej, dziewczyno! Przez pas zatrutego masła orzechowego! Możesz to zrobić!

– Pani Owens? – odezwałem się.

Przeniosła wzrok na mnie. Nie przestała się uśmiechać, ale lekko zmrużyła oczy.

– A ty jesteś...

– Nazywam się Mickey Bolitar. Jestem nowo przyjętym drugoklasistą. I zamierzam darować sobie to ćwiczenie, jeśli można.

Znów zobaczyłem ten lekki tik jej prawego oka.

– Przepraszam?

– Tak, naprawdę nie sądzę, żebym chciał być noszony.

Pozostałe dzieciaki popatrzyły na mnie, jakbym miał trzecią rękę wyrastającą z czoła.

– Panie Bolitar, jest pan tu nowy. – Pani Owens po raz pierwszy powiedziała coś bez wykrzyknika. – Sądzę, że chce pan uczestniczyć.

– Czy to obowiązkowe? – zapytałem.

– Przepraszam?

– Czy udział w tym szczególnym ćwiczeniu jest obowiązkowy?

– Cóż, nie, nie jest obo...

– Zatem daruję je sobie. – Popatrzyłem na Emę/Emmę.

– Zechciałabyś dotrzymać mi towarzystwa?

I odeszliśmy. Za plecami słyszałem głuchą ciszę. Potem

pani Owens dmuchnęła w gwizdek, kończąc ćwiczenia i ogłaszając przerwę na lunch.

– Oo – odezwała się Ema/Emma, kiedy odeszliśmy kilka kroków.

– Co?

Spojrzała mi w oczy.

– Uratowałeś grubaskę. Założę się, że jesteś z siebie dumny.

Potem pokręciła głową i odeszła.

Obejrzałem się. Pani Owens nas obserwowała. Wciąż się uśmiechała, lecz gniewny błysk w jej oczach dowodził, że już pierwszego dnia udało mi się zrobić sobie wroga.

Słońce prażyło. Stałem w jego blasku. Na moment zamknąłem oczy i myślałem o matce, która wkrótce wróci z odwyku. I o ojcu, martwym i pogrzebanym.

Czułem się bardzo samotny.

Szkolny bufet był zamknięty, bo do rozpoczęcia roku szkolnego było jeszcze kilka tygodni, więc musieliśmy przynosić swoje jedzenie. Kupiłem zapiekankę z kurczakiem w Wilkes Deli i usiadłem na trawiastym pagórku obok boiska. Już miałem zacząć jeść, kiedy ją zauważyłem.

Nie była w moim typie, chociaż właściwie nie mam ulubionego typu. Przez całe życie podróżowałem. Moi rodzice pracowali dla organizacji charytatywnej w takich miejscach, jak Laos, Peru czy Sierra Leone. Nie mam rodzeństwa.

Wszystko to było ekscytujące i fajne, kiedy byłem mały, ale z czasem stało się męczące i trudne do zniesienia. Chciałem osiąść w jednym miejscu. Chciałem mieć przyjaciół i grać w drużynie koszykówki, spotykać się z dziewczynami i robić to, co robią nastolatki. A raczej trudno to robić, kiedy wędruje się z plecakiem po Nepalu.

Ta dziewczyna była bardzo ładna, na pewno, ale także schludna, sztywna i ubrana z dyskretną elegancją. Coś sugerowało, że jest wyniosła, chociaż nie potrafiłbym powiedzieć co. Miała jasnoblond włosy porcelanowej lalki. Nosiała prawdziwą spódniczkę, nie jakąś tam supermini, oraz wywinięte skarpetki do kostek, i wyglądała, jakby zeszła z kartek katalogu Brooks Brothers moich dziadków.

Ugryzłem zapiekankę, a potem zauważyłem, że ona nie ma śniadania. Może była na diecie, ale z jakiegoś powodu wydawało mi się, że nie.

Nie wiem dlaczego, ale postanowiłem do niej podejść. Nie miałem ochoty rozmawiać ani poznawać kogoś. Jeszcze nie oswoiłem się z tymi wszystkimi osobami, które pojawiły się w moim życiu, i naprawdę nie chciałem dodawać nowych.

Może po prostu dlatego, że była taka ładna. Może jestem płytki jak każdy facet. A może dlatego, że samotny zawsze wyczuje samotnego. Może pociągało mnie w niej to, że tak jak ja wydawała się trzymać z boku.

Podszedłem ostrożnie. Kiedy znalazłem się blisko, uniosłem rękę.

– Cześć – powiedziałem.

Zawsze rzucam takie superteksty.

Popatrzyła na mnie, osłaniając dłonią szmaragdowozielone oczy.

– Cześć.

Tak, była bardzo ładna.

Stałem tam, czując się jak oferma. Zaczerwieniłem się. Nagle miałem wrażenie, że moje ręce są za duże w stosunku do reszty ciała. Potem znowu się odezwałem:

– Mam na imię Mickey.

Ludzie, ale jestem wygadany, no nie? Co zdanie, to greps.

– Jestem Ashley Kent.

– Fajnie.

– Taa...

Gdzieś na świecie – może w Chinach, Indiach lub jakiejś odludnej części Afryki – zapewne żyje większy głupek ode mnie. Jednak nie postawiłbym na to nawet centa.

Wskazałem jej puste ręce.

– Przyniosłaś drugie śniadanie?

– Nie, zapomniałam.

– Ta zapiekanka jest ogromna. Chcesz pół? – spytałem.

– Och, nie mogłabym...

Jednak nalegałem, a ona zaprosiła mnie, żebym koło niej

usiadł. Ashley też była drugoklasistką i również niedawno sprowadziła się do miasteczka. Powiedziała, że jej ojciec jest sławnym chirurgiem, a matka prawniczką.

Gdyby to był film, w tym momencie puściliby muzykę, jakąś ckliwą melodię, pokazując, jak jemy z Ashley drugie śniadanie, rozmawiamy, śmiejemy się, nieśmiało flirtujemy, trzymamy się za ręce – kończąc to niewinnym pierwszym pocałunkiem.

To było trzy tygodnie temu.

Dotarłem do klasy pana Hilla tuż przed dzwonkiem. Zaczął odczytywać listę obecności. Potem znów zadzwonił dzwonek na przerwę. Klasa Ashley znajdowała się po drugiej stronie korytarza. Czekałem tam i zobaczyłem, że Ashley znowu nie ma.

Wcześniej opisałem ją jako moją dziewczynę. Może przesadziłem. Nasza znajomość rozwija się powoli. Pocałowaliśmy się dwa razy, nic więcej. Tak naprawdę nie lubiłem nikogo w tej nowej szkole. A ją lubiłem. To nie była miłość. Na to jeszcze za wcześnie. Z drugiej strony takie uczucia zwykle wygasają. Taka jest prawda. Lubimy udawać, że wzmacniają się, w miarę jak zbliżamy się do siebie, jednak przeważnie jest wprost przeciwnie. Chłopak widzi taką cudowną dziewczynę i traci dla niej głowę, zapiera mu dech w piersi i robi się niecierpliwy, pragnąc jej tak bardzo, że w końcu wszystko psuje.

Jeśli uda mu się z nią przespać, niemal natychmiast traci zainteresowanie. W moim przypadku uczucie do Ashley naprawdę się rozwijało. To było trochę przerażające, ale w pozytywny sposób.

A potem pewnego dnia przyszedłem do szkoły, a Ashley nie było. Próbowałem dzwonić na jej komórkę, ale nie odbierała. Następnego dnia też nie przyszła. I następnego. Nie wiedziałem, co robić. Nie znałem jej adresu. Sprawdziłem w internecie nazwisko Kent, ale widocznie mieli zastrzeżony numer. W rzeczy samej, w sieci nie znalazłem o niej żadnych informacji.

Ashley po prostu zniknęła bez śladu.

Rozdział 2

Na trzeciej przerwie wpadłem na pewien pomysł.

Ashley i ja mieliśmy tylko jedno wspólne zajęcia – z historii Stanów Zjednoczonych, z panią Friedman, którą dotychczas lubiłem najbardziej ze wszystkich nauczycieli. Była egzaltowana i pełna entuzjazmu. Dzisiaj mówiła o tym, jak wszechstronne były niektóre postacie historyczne, namawiając nas, żebyśmy stali się „ludźmi renesansu”.

Jeszcze z nią nie rozmawiałem. Nie rozmawiałem z żadnym z moich nauczycieli poza klasą. Trzymałem się z boku. Taki już byłem. Wiem, że przyglądano mi się jako „temu nowemu”. Pewnego dnia grupka dziewczyn chichotała, patrząc na mnie, a jedna podeszła i zapytała:

– Może... no... mogłabym dostać twój numer telefonu?
Zaskoczony podałem go jej.

Pięć minut później usłyszałem chichot i mój telefon za-

czął wibrować. Dostałem SMS: **Moja przyjaciółka uważa, że jesteś przystojny.** Nie odpowiedziałem.

Po lekcji podszedłem do pani Friedman.

– Ach, pan Bolitar – powiedziała z uśmiechem, który rozpromienił jej twarz. – Cieszę się, że chodzi pan na moje zajęcia.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc ograniczyłem się do chrząknięcia i „dziękuję”.

– Nie uczyłam pańskiego ojca – ciągnęła – ale pana wujek był jednym z moich ulubionych uczniów. Jest pan do niego podobny.

Mój wujek. Wielki Myron Bolitar. Nie lubiłem go i mężczyło mnie wysłuchiwanie, jaki to jest wspaniały. Mój ojciec i wujek byli sobie bardzo bliscy, kiedy dorastali, ale potem ich drogi się rozeszły. Przez ostatnie piętnaście lat – czyli w zasadzie od chwili mojego poczęcia do śmierci ojca – bracia ze sobą nie rozmawiali. Pewnie powinienem wybaczyć wujkowi Myronowi, ale jakoś nie miałem ochoty.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Bolitar?

Gdy niektórzy nauczyciele zwracają się do ciebie per pan lub pani, brzmi to protekcyjnie lub zbyt oficjalnie. Pani Friedman jednak mówiła to we właściwy sposób.

– Jak pani zapewne wie – zacząłem powoli – Ashley Kent jest nieobecna.

– Owszem. – Pani Friedman była niska, więc z pewnym

trudem spoglądała mi w oczy. – Wy dwoje jesteście sobie bliscy?

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Niech pan da spokój, panie Bolitar. Może jestem stara, ale widzę, jak pan na nią patrzy. Nawet panna Caldwell jest zła, że nie zwraca pan na nią uwagi.

Poczerwieniałem, kiedy to powiedziała. Rachel Caldwell była zapewne najgorętszą laską w szkole.

– W każdym razie – kontynuowałem, przeciągając słowa – pomyślałem, że może mógłbym jej pomóc uzupełnić zaległości.

– W jaki sposób?

– Myślałem, że zapisałbym temat jej pracy domowej i... no cóż... zaniósł jej.

Pani Friedman ścierała tablicę. Większość nauczycieli używa tablic interaktywnych, ale pani Friedman lubiła żartować, że „ona należy do starej szkoły – dosłownie”. Przesłała wycierać i spojrzała na mnie.

– Czy Ashley prosiła pana o przyniesienie jej tematu pracy domowej?

– No, nie.

– Zatem sam pan się tego podjął?

To był głupi pomysł. Nawet gdyby podała mi ten temat, dokąd miałbym z nim pójść? Nie wiedziałem, gdzie Ashley mieszka.

– Nieważne – powiedziałem. – Mimo to dziękuję.

Odłożyła gąbkę.

– Panie Bolitar?

Odwróciłem się do niej.

– Czy pan wie, dlaczego Ashley Kent jest nieobecna?

Moje serce zaczęło bić mocniej.

– Nie, proszę pani.

– Jednak się pan niepokoi.

Nie wiedziałem, po co miałbym ją okłamywać.

– Tak, proszę pani.

– Nie dzwoniła do pana?

– Nie dzwoniła.

– Dziwne. – Pani Friedman ściągnęła brwi. – Mogę tylko powiedzieć, że dostałam wiadomość, iż nie powinnam oczekiwać powrotu Ashley.

– Nie jestem pewny, czy rozumiem.

– To wszystko, co wiem – odrzekła pani Friedman. – Sądzę, że się przeprowadziła. Jednak...

Umilkła.

– Jednak co?

– Nieważne, panie Bolitar. – Znów zaczęła wycierać tablicę. – Po prostu... niech pan będzie ostrożny.

• • •

Podczas przerwy śniadaniowej stanąłem w kolejce do bufetu.

Zawsze sądziłem, że bufet w szkole średniej będzie bardziej tętnił życiem. Owszem, były tu różne paczki. Tutejszych sportowców nazywano Lax Bros (od braci lacrosse). Wszyscy mieli długie włosy, wielkie muskuły i zaczęli każde zdanie od słowa „taa”. Był stolik miłośników anime – białych dzieciaków uważających się za Azjatów. Ci uwielbiali komiksy i gry wideo w stylu mangi. Ich dziewczyny były nie tyle ładne, ile chude, i nosiły zbyt wysokie szpilki oraz drogie ciuchy. Przesiadawali tam również hipsterzy, skejci, ćpuny, maniacy komputerowi i kinomani.

Nie było żadnych ostrych tarć. Te dzieciaki znały się tak długo, że nie zwracały uwagi na różnice. Tak zwani outsiderzy, którzy siedzieli sami, byli sami od tylu lat, że nie było to okrucieństwo, ale przyzwyczajenie. Nie miałem pewności, czy tak jest lepiej, czy gorzej.

Jakiś dzieciak zdecydowanie wyglądający na komputerowca podszedł do mnie z tacą w ręce. Nogawki spodni miał obcięte, jakby w jego piwnicy stała woda. Nosił idealnie białe sportowe buty bez żadnego znaku firmowego.

Poprawił okulary Harry’ego Pottera i pokazał mi swoją tacę.

– Hej, chcesz moją łyżeczkę? – zapytał. – Prawie jej nie używałem.

Spojrzałem na tacę.

– Prawie?

– Tak.

Podniósł tacę nieco wyżej, żebym mógł zobaczyć. Łyżeczka tkwiła w kubku z owocami w syropie.

– Nie – odparłem. – Nic mi nie trzeba.

– Na pewno?

– Zabrakło im łyżeczek czy co?

– Niece, mają ich mnóstwo.

No dobrze.

– Więc nie, dziękuję, nie potrzebuję jej.

Wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Kiedy kupiłem lunch, Łyżka – bo tak nazwałem go w myślach – czekał na mnie.

– Gdzie zamierzasz usiąść? – zapytał.

Od kiedy Ashley znikła, jadałem sam, na dworze.

– Jeszcze nie wiem.

Łyżka poszedł za mną.

– Jesteś duży i trzymasz się z boku. Jak Shrek.

Co na to można powiedzieć?

– Mógłbym być twoim Osłem, wiesz?

No, dobrze. Gdybym wyszedł na dwór, ruszyłby za mną, więc rozejrzałem się za jakimś bezpiecznym miejscem w środku.

– Albo twoim Robinem. Jak Batman i Robin. Albo Sancho Pansą. Czytałeś *Don Kichota*? Ja też nie, ale widziałem

musical *Człowiek z La Manchy*. Uwielbiam musicale. Mój ojciec też, ale mama nie bardzo. Ona lubi walki w klatkach w stylu mieszanym. Połączenie różnych sztuk walki. My z ojcem raz w miesiącu chodzimy na musicale. A ty lubisz musicale?

– Pewnie – mruknąłem, rozglądając się po bufecie za jakimś bezpiecznym schronieniem.

– Mój ojciec jest super. Zabiera mnie na musicale i inne spektakle. Trzy razy byliśmy na *Mamma mia*. Jest niesamowity. Film już nie jest taki dobry. No wiesz, Pierce Brosnan śpiewa, jakby ktoś przeszył mu gardło strzałą z łuku. Ojciec dostaje ulgowe bilety, ponieważ pracuje w szkole. Jest tu woźnym. Jednak nie proś go, żeby wpuścił cię do damskiej szatni, dobrze? Ponieważ ja prosiłem, a on powiedział, że nie ma mowy. Ojciec potrafi być stanowczy, wiesz?

– Taak... Wiem.

W tak zwanym kąciu outsiderów zobaczyłem prawie pusty stolik. Jedyłą siedzącą przy nim osobą była moja niewdzięczna dama w opałach, Ema lub Emma. Nadal nie poznałem jej imienia.

– I co ty na to, żebyśmy był twoim Osłem?

– Wrócę do ciebie – powiedziałem do Łyżki.

Pospieszyłem w kąć i postawiłem moją tacę obok tacy Emy. Znów miała gruby czarny makijaż, włosy czarne jak pasta do butów, czarne ubranie i buty, bladą skórę. Była

gotem, emo, czy jak tam teraz nazywa się taki styl. Miała tatuaże na przedramionach, a jeden wyłaniał się z koszuli i wił po karku. Spojrzała na mnie z miną, która nie byłaby bardziej ponura, gdybym ją uderzył.

– Och, świetnie – wymamrotała. – Siad łaski.

– Siad łaski?

– Pomyśl.

Zrobiłem to. Nigdy nie słyszałem tego wyrażenia.

– Och, rozumiem. Niby że lituję się, bo siedzisz sama, więc siadam koło ciebie?

Przewróciła oczami.

– A ja miałam cię za głupiego mięśniaka.

– Staram się być człowiekiem renesansu.

– Widzę, że też masz zajęcia z panią Friedman. – Zerknęła na prawo i na lewo. – Gdzie twoja wyelegantowana dziewczyna?

– Nie wiem.

– Od przesiadywania ze ślicznotką do siedzenia ze mną.

– Ema/Emma pokręciła głową. – Co za upadek.

Męczyło mnie myślenie o niej jako o Emie/Emmie.

– Jak masz na imię?

– A dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Słyszałem, jak ktoś nazwał cię Emą. Potem pani Owens nazwała cię Emmą.

Podniosła widelec i zaczęła grzebać w jedzeniu. Dopiero

teraz zauważyłem, że ma przekłute brwi. O rany.

– Na imię mam Emma. Jednak wszyscy nazywają mnie Ema.

– Dlaczego? Chciałbym po prostu wiedzieć, jak mam cię nazywać.

– Ema – powiedziała niechętnie.

– Dobrze. Ema.

Znów zaczęła grzebać w jedzeniu.

– Więc czym się zajmujesz? No wiesz, kiedy nie ratujesz grubych dziewczyn.

– Trochę przesadzasz z tym udawaniem zgorzkniałej.

– Tak uważasz?

– Powinnaś wyluzować.

Wzruszyła ramionami.

– Może masz rację. Jesteś tu nowy, zgadza się?

– Zgadza.

– Skąd jesteś?

– Dużo podróżowaliśmy – odparłem. – A ty?

Skrzywiła się.

– Ja przez całe życie mieszkam w tym miasteczku.

– To chyba nie takie złe.

– Nie widzę, żebyś ty się dopasował.

– Nie chcę się dopasować.

Ta odpowiedź spodobała się Emie. Popatrzyłem na moją tacę. Wziąłem łyżeczkę i pomyślałem, no cóż, o Łyżce. Po-

kręciłem głową i się uśmiechnąłem.

– Co? – spytała Ema.

– Nic.

Dziwnie było o tym myśleć, ale kiedy mój ojciec był w tym samym wieku, co ja teraz, siadywał tu i jadł lunch. Był młody i miał przed sobą całe życie. Rozglądałem się i zastanawiałem, gdzie siadał, z kim rozmawiał i czy śmiał się równie chętnie jak wtedy, gdy go znałem.

Te myśli były jak gigantyczna dłoń ściskająca moją pierś. Zamrugąłem i odłożyłem łyżeczkę.

– Hej, wszystko w porządku? – zapytała Ema.

– Tak.

Myślałem o Nietoperzycy i o tym, co mi powiedziała. Wylądowała z domu jak oszalały nietoperz. Może od tego wzięło się to przezwisko? Nie dostaje się takiej ksywy bez powodu, tylko za szalone czyny. Takie jak mówienie chłopcu, który widział, jak jego ojciec zginął w wypadku samochodowym, że ten człowiek, którego tak mu brakuje, wciąż żyje.

Wróciłem myślami do dnia sprzed ośmiu miesięcy, kiedy wylądowaliśmy w Los Angeles – mój ojciec, matka i ja. Rodzice chcieli znaleźć miejsce, gdzie mógłbym chodzić do szkoły, grać w prawdziwej drużynie koszykarskiej i może pójść na studia.

Piękne plany, prawda?

Teraz ojciec nie żyje, a matka się załamała.

– Emo? – odezwałem się.

Spojrzała na mnie czujnie.

– Czy wiesz coś o Nietoperzycy?

Ściągnęła brwi. Kiedy to zrobiła, tusz na jej powiekach się pofałdował, a potem rozchylił jak wachlarz.

– Teraz jarzę.

– Co?

– Dlaczego tu usiadłeś. Pomyślałeś sobie, że zwariowana dziewczucha wie pewnie wszystko o zwariowanej starej babie.

– Co takiego? Nie.

Ema wstała, zabierając tacę.

– Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

– Nie, zaczekaj, nie rozumiesz...

– Wszystko rozumiem. Już spełniłeś dobry uczynek.

– Przystaniesz wreszcie? Emo?

Pospiesznie odeszła. Ruszyłem za nią i zatrzymałem się. Dwaj miśniacy w sportowych kurtkach z emblematem drużyny futbolowej uśmiechali się szyderczo. Jeden stał po mojej prawej, a drugi po lewej. Ten po prawej – z wytłoczonym na piersi napisem *BUCK* – zbyt mocno klepnął mnie w ramię.

– Wygląda na to, że cię olała, co?

Drugi miśniak – z wytłoczonym imieniem *TROY* – roześmiał się.

– Tak – powiedział. – Olany. Przez grubą laskę.

Znowu Buck:

– Grubą i brzydką.

Troy:

– I mimo to cię olała.

Buck i Troy przybili piątkę. Potem odwrócili się i podnieśli ręce, żebym i ja to zrobił.

– Przybij – powiedział Buck.

Ściągnąłem brwi.

– Nie musicie czasem sprawdzić, czy nie zapchały się wam strzykawki ze sterydami?

Obaj otworzyli usta ze zdziwienia. Przepchnąłem się między nimi.

– Jeszcze nie skończyliśmy, trupie! – krzyknął Buck.

– Tak! – dodał Troy. – Trupie!

– Zimny jak gład.

– Trupie!

Ludzie, miałem nadzieję, że ta ksywa do mnie nie przylgnie. Kiedy ruszyłem za Emą, pani Owens, która miała dyżur w bufecie, szybko zastąpiła mi drogę. Miała błysk w oku. Nie wybaczyła mi fiaska, jakim okazały się ćwiczenia tworzące więź. Wciąż ze zbolałym uśmiechem, tuż przed moim nosem dmuchnęła w gwizdek.

– Nie biegamy w bufecie – powiedziała – albo dostajemy tydzień siedzenia w kozie. Czy wyrażam się jasno?

Rozejrzałem się. Buck wycelował we mnie palec jak lufę i udał, że odciąga kciukiem kurek. Ema zostawiła tacę i wyszła z bufetu. Pani Owens uśmiechnęła się, prowokując mnie, żebym za nią pobiegł. Nie zrobiłem tego.

Tak, szybko zdobywałem przyjaciół.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).